

## Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Przy niemałym rozrzucie tematycznym zagranicznych książek z obszaru INiB, ich zróżnicowanie jakościowe nie powinno dziwić. Obok zatem tekstów doskonałych i produktywnych, są również po prostu ciekawe, ale są także nijakie, niesygnalizujące niczego nowego, a niekiedy zdarzają się knoty. Nie mam pojęcia, których jest najwięcej, bo zresztą sama ilość nie ma nic do rzeczy. Liczą się najlepsze, a tych zawsze trochę jest. A że nie zdominowały oferty? No cóż: to nie jest dyscyplina najbardziej w nauce prestiżowa.

### ZARZĄDZANIE PROGNOSTYCZNE [\*\*\*\*\*]

S. David Mash (2010). *Decision-making in the absence of certainty*. Chicago: Association of College and Research Libraries, 160 s., ISBN 978-0-8389-8571-7.

Zarządzanie strategiczne, czyli uwzględniające przyszłość (a przyszłość zawsze zaczyna się *t e r a z*), jest szczególnie trudne – w bibliotekach nawet trudniejsze niż w innych instytucjach – bo nadchodzące okoliczności funkcjonowania nie są do końca rozpoznane. Nie mogą być i Dawid Mash przyznaje to w swojej książce, ale podpowiada też, jak ograniczyć niepewność i uporządkować postępowanie zarządcze. Bardzo to ciekawa i pożyteczna publikacja.

Oczywiście istnieją różne prognozy, do których można się odwołać, ale wiele z nich jest fałszywych, opartych na subiektywnych przesłankach, a przeszkadza też nadmierna, irracjonalna fascynacja technologią. W każdym razie dla bibliotek, panorama ich społecznego kontekstu, w perspektywie półwiecza, jest mocno zamazana.

Zwykle dla celów prognostycznych wykorzystuje się ekstrapolację trendów, wmontowując scalone tendencje dawne i obecne w wizerunek przyszłej rzeczywistości, ale to nie przynosi pożądanych skutków. Inny zabieg, mianowicie wykozystanie opinii ekspertów, za bardzo z kolei opiera się o poglądy intuicyjne. Poza tym wiele zdarzeń tak przyszłych, jak i obecnych, wynika z przyczyn drobnych, niemożliwych do wyprzedzającego przewidzenia. Któż umiałby dzisiaj skonkretyzować finansowe zaplecze różnych (!) bibliotek, a bez tego żadnego prognostycznego programu nie można ukonstytuować w pełni.

Mash przypomina rozmaite fakty z bibliotecznej przeszłości oraz minione zapowiedzi, które później odeszły w zapomnienie. Hasło *biblioteka bez ścian* wygenerowało się w 1927 r. jako zachęta do tworzenia bibliotek objazdowych, dostawy książek do domów oraz organizacji wypożyczeń międzybibliotecznych – z czego przyjęły się głównie te ostatnie. O hasło zapomniano i powróciło dopiero w latach 80. XX w., ale w całkowicie odmiennym sensie: jako zapowiedź zastąpienia bibliotek usługami z sieci. Tak więc rzeczywistość okazała się inna, niż przypuszczano.

W tymże 1927 r. bibliotekarz John Dana sugerował, że w bibliotekarstwie ważniejsze od tworzenia kolekcji jest zapewnienie publiczności dostępu do zasobów. To nie to samo, ale nikt go nie posłuchał – ani wtedy, ani przez następne dziesięciolecia. Dopiero niedawno ten paradygmat został na nowo *odkryty* i zaakceptowany.

### DECISION-MAKING IN THE ABSENCE OF CERTAINTY

A Study in the Context of Technology and the Construction of the 21<sup>st</sup> Century Academic Library

S. David Mash



Jeszcze wcześniej, bo w 1894 r., zapowiedziano (nie bez uciechy) zagładę książki, czyli *end of books*, co nie ziściło się jednak – tak jak i powtórna zapowiedź z 1985 r. Nieco później Ray Kurzweil uznał, że biblioteczne budynki nie będą nikomu potrzebne, a tymczasem są za ciasne i wciąż buduje się nowe (zob. *Knot*). No to cóż warte są takie *prognozy*?

Mash oczywiście nie odrzuca myślenia o przyszłości, natomiast doradza staranne postępowanie metodyczne, oparte o wiedzę na temat zarządzania i krytyczne jej wykorzystanie. Podkreśla: *k r y t y c z n e* – i przywołując różne paradygmaty organizacyjno-zarządcze, sygnalizuje ich zalety oraz słabości. Wszystko razem składa się zaś na sugestię następującej sekwencji postępowania: weź pod uwagę możliwie wszystko, rozpoznaj dokładnie, możesz wdrożyć to, co wypracujesz, pamiętaj jednak o słabości tak przyjętych rozwiązań.

Co można zrobić? Odwołać się do modelu racjonalnego, gromadząc i przetwarzając na przyszłe potrzeby możliwie sporo informacji. Ale to pewności nie gwarantuje. Można też następnie, na tej podstawie, dokonać optymalizacji struktur organizacyjnych, jednak wtedy nie uwzględni się niczego, co do tych struktur nie przystaje. Zaś dla weryfikacji własnych pomysłów przydaje się odwołanie do mądrości zbiorowej (burza mózgów), ale nigdy do końca nie wiadomo, czy wygenerowane w ten sposób koncepcje nie są aby dostosowane wyłącznie do interesów debatującej grupy. Tak różne przesłanki przypominają razem *kosz na śmieci*, z którego trzeba dopiero powybierać to, co wydaje się najbardziej rozumne i stworzyć z tego spójną mozaikę prognostyczną. Inaczej: strumień najbardziej możliwych zdarzeń, wraz z ich następstwami.

Nie jest to łatwe. Wobec każdego programu wyrażają przecież swoje opinie zwierzchnicy, a także współdecydenci, z wiedzą często inną i zwykle ograniczoną, natomiast z uprawnieniami władczymi. Czemu trudno przeciwstawić się niekiedy, tym bardziej że generują się również emocje. Z drugiej strony – już nawet sama przyszła technologia komunikacyjna nie jest do końca rozpoznana, zatem przyjęte preferencje zawsze są zanurzone w niepewności.

Jest – co tu dużo mówić – mniejszy lub większy chaos prognostyczny, a decydować oraz funkcjonować trzeba mimo to. Otóż krokiem w kierunku porządkowania procesów zarządczych jest redukcja mnogich wariantów wyboru: odrzucenie tego, co wydaje się najmniej prawdopodobne. Pewności to jeszcze nie gwarantuje, ale zmniejsza ryzyko popełnienia błędu.

## BIBLIOTEKI AKADEMICKIE W NOWYM KONTEKŚCIE [\*\*\*\*\*]

*University libraries and digital learning environments* (2011). Red. Penny Dale, Jill Beard, Matt Holland. Farnham: Ashgate Publishing Limited, 278 s., ISBN 978-0-7546-795-78.

Bardzo ciekawą książkę o bibliotekach akademickich w zmieniającym się obecnie kontekście, opublikowano w Anglii – z udziałem również autorów amerykańskich. Tematyka szczegółowa jest rozległa.

Jeszcze sto lat temu uważano, że biblioteka jest sercem każdego uniwersytetu, ale teraz nikt już tak nie twierdzi, co nie oznacza jednak dla bibliotek zagłady. Po prostu odmienne są obecnie hierarchie, inne oceny oraz przebudowane poglądy – także na uczelnie jako takie.

Biblioteki akademickie zmieniają się sukcesywnie, dostosowując ofertę do nowych warunków. Rozmaitość nośników i form komunikacji, w których transmisji pośredniczą, to już dzisiaj praktyka powszechna. Stopniowo rozwijają się też usługi zdalne. Za szczególnie ważne autorzy uważają ponadto: silną integrację z uczelnianymi instytutami oraz poszerzenie unowocześnionej oferty z zakresu *information literacy*.

Ta nowość w tym ostatnim zakresie ma polegać na partnerskiej, seminaryjnej formie wprowadzania studentów w świat informacji – w miejsce dawnego *naucza-*

nia, które (powiadają) jest już przeżytkiem. Natomiast sam cel nie zmienił się specjalnie. Nadal chodzi o to, żeby wiedzieć, gdzie i jakiej szukać informacji, jak ją ocenić, zweryfikować oraz wykorzystać – z podkreśleniem (i to jest ewentualnie nowinka) etycznych reguł postępowania.

Nie widać jednak, żeby zakres i tempo wdrażanych zmian ktokolwiek uznawał za satysfakcjonujące. Zwłaszcza promocja bibliotek uchodzi za mało skuteczną i trochę archaiczną. Skoro wszyscy studenci korzystają z Internetu, to trzeba – powiada się – wykorzystywać do bibliotecznej promocji portale społecznościowe (Facebook), formułę Web 2.0 i ewentualnie blogi.

Znacznie silniej niż to bywało w przeszłości, podkreśla się konieczność stworzenia w bibliotekach akademickich, dogodnej dla studentów, przestrzeni edukacyjnej. Z miejscami do pracy indywidualnej (pomieszczenia małe, ale także większe) oraz do pracy grupowej (zob. *Knot*) – z dostępem do zasobów drukowanych i sieciowych (na każdym stanowisku), jak też z możliwie sprawnym systemem sprawozdania materiałów z innych bibliotek. Do tego wszystkiego zaś potrzebny jest jeszcze bardzo dobrze przygotowany, doradczy personel biblioteczny.

Zwraca w tym tomie uwagę równorzędne traktowanie przekazów drukowanych i elektronicznych, jeśli wykorzystywanych w procesach uczenia się. Są nawet sugestie, że materiały digitalne raczej dopelniają treści, przejmowane z piśmiennictwa, niż miałyby je zastępować.

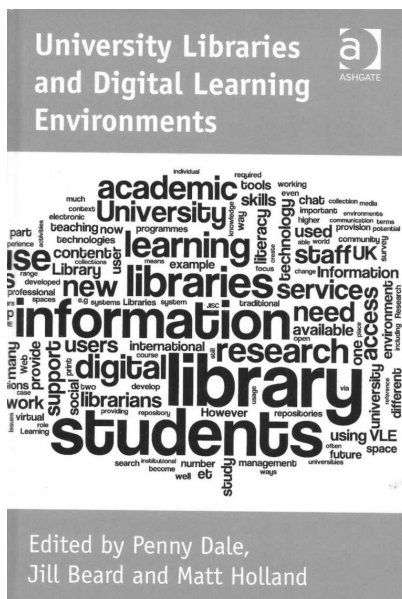
Oferty zdalne, chociaż jednoznacznie uznane za konieczne, nie są charakteryzowane w tonacji euforycznej. Powiada się, że chętnych jest niewielu, a ta forma usług jest kosztowna, zwłaszcza jeśli realizowana w postaci czatów, no i wymaga zwiększenia obsady osobowej. Trochę zaskakująca natomiast jest sugestia, że dyżurujący *na czacie* bibliotekarz mógłby w gruncie rzeczy pracować w domu. Po przeniesieniu tam bibliotecznego piśmiennictwa i szeregu urządzeń elektronicznych?

A już inna sprawa, że oferta edukacyjna na dystans doczekała się częściowej integracji. Skomasowano ją mianowicie – to, co się nadawało – w platformie Virtual Lending Environment. Ale biblioteki (niektóre) są tam tylko współwykonawcami projektów, a nie: głównymi realizatorami.

Jest też mowa o bibliotecznych repozytoriach elektronicznych, których w Anglii doliczono się 1600. Uważa się, że oprócz samej archiwizacji oraz udostępniania materiałów, pełnią one też rolę promocyjną, prezentując naukowy dorobek uczelni. Prawa autorskie i licencyjne są w tych repozytoriach zróżnicowane, na ogół z krzywdą dla autorów, którzy ponadto muszą dostosowywać swoje teksty do rygorystycznych wymagań technicznych. Z tego tylko 15% funkcjonuje w trybie Open Access, więc jednak ktoś na tym zarabia.

Niekoniecznie autorzy. W ogóle cały ten tom zdaje się ignorować profesorów jako partnerów i użytkowników bibliotek: całość uwag dotyczy studentów. A potem wszyscy dziwią się, że wykładowcy nie kochają bibliotek. Za co?

Część uwag odnosi się do praktyki kształcenia bibliotekarzy. W Anglii próbuje się edukację INiB uczynić bardziej interdyscyplinarną, ale najlepiej udaje się eliminacja terminów *bibliotekarstwo* oraz *biblioteka* – zresztą nie tylko tam. Akredytacja należy do CILIP, gdzie wypracowano swoisty kanon nauczania: ko-



nieczne zakresy kształcenia – z możliwością uzupełnień. W rejestrze podstawowym pomieszczono generowanie kolekcji, organizację informacji (napisano *wiedzę*, ale to błąd), organizację usług, sztukę mediacji, pracę z użytkownikiem, wiedzę o środowisku okołobibliotecznym oraz charakterystykę instytucji informacyjnej. Niektórzy dodają do tego metodologię badań oraz wiedzę o zarządzaniu. Na ogół redukuje się natomiast naukę katalogowania i klasyfikacji zasobów. Ale wszystko to wywołuje liczne kontrowersje.

Jak w każdej profesji, bibliotekarze też muszą sukcesywnie odnawiać wiedzę i pogłębiać specjalizację. Organizacja tego doskonalenia jest przypisana głównie do bibliotek zatrudniających: z form zewnętrznych korzystają nieliczni. Tylko 3,5% doktoratów z zakresu INiB realizowali praktycy. Napisano, że to się zmieni, bo konkurencja licznych magistrów wymusi w bibliotekach pęd ku doktoratom. Otóż wątpię – bo to nie jest kierunek doskonalenia praktycznego. Oraz słono kosztuje, o czym nie wspomina nikt. Jasne: angielscy dżentelmeni o pieniądzach nie rozmawiają.

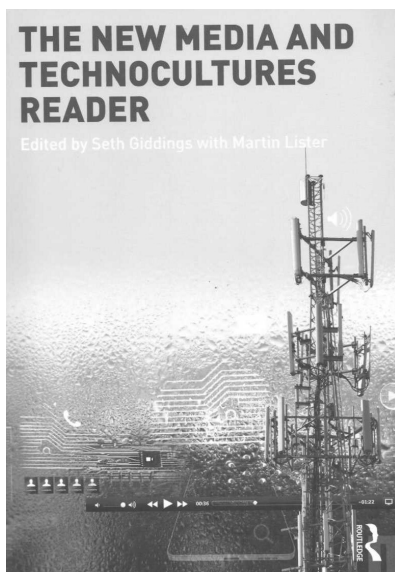
## NOWE MEDIA I ŻYCIE [\*\*\*\*]

*The new media and technocultures reader* (2011). Red. Seth Giddings, Martin Lister. Abingdon: Routledge, 514 s., ISBN 978-0-415-46914-2.

Oto wieloautorska i wielonarodowa, pokaźna książka, traktująca o nowych mediach w różnej konfiguracji, mająca częściowo charakter wypisów, przywołuje bowiem głównie fragmenty tekstów, już opublikowanych niedawno bądź przed laty – a m.in.: Norberta Wienera, Teda Nelsona, Marshalla McLuhana i innych. Samo w sobie nie jest to naganne, ale wymagałoby bardziej przejrzystego układu i staranniejszej redakcji. W sumie liczyłem na znacznie więcej, chociaż jest to publikacja bez wątpienia warta uwagi – jakkolwiek zbyt *wszystkoistyczna* (coś prawie o wszystkim) i jednocześnie nadmiernie sfragmentaryzowana: pokawałkowana na powyrywane z kontekstów segmenty. Czyta się to z niemałym trudem.

Przywołano oto opinie Norberta Wienera na temat postępu technicznego. Jego zdaniem, dokonano się w ten sposób zastąpienie wysiłku fizycznego oraz przyspieszenie procesów, nieomal wszędzie: automatyzacja jest bowiem lub będzie możliwa we wszystkich obszarach. Ale jest też ostrzeżenie. Otóż według Wienera, automat to ekwiwalent działania niewolniczego, na pewno nie kreatywnego, a może być zastosowany zarówno dla pożytku, jak i ku destrukcji. Tej ostrożności nie przestrzegają inni komentatorzy sugerując, że kiedy Wiener oraz John von Neumann tworzyli prototyp maszyny cybernetycznej, nie widzieli różnicy między koncepcją maszyny i człowieka. Z własnych dawnych lektur nie odniosłem takiego wrażenia. Tym niemniej w tym tomie ujawniła się wyraźna sprzeczność eksplikacyjna. No a co na to redaktorzy? Ciekawostka polega na tym, że... nic.

W całym tym zbiorze wypowiedzi wyraźnie prześwituje kontekst sporów o możliwości i granice generowania sztucznych umysłów. Z tego bierze się wszak zestawienie opinii von Neumanna – że matematyka może być modelem i teoretyczną bazą dla każdej fizycznej rzeczywistości – z późniejszą konkluzją Kurta Godela, który stwierdził, że nie da się stworzyć systemu





matematycznego, sprawdzającego w s z y s t k o. Komentator, Benjamin Woolley, studzi więc zapęły (może nieco przesadną?) konkluzją, że komputer to urządzenie do procesów matematycznych – i nic więcej. No nie: jednak *trochę* więcej.

Ogólniejsza opinia jest taka, że media umożliwiły przełamanie barier czasu i przestrzeni, a komputer stworzył szanse dla reakcji natychmiastowych, które przedtem (poza telefonem) nie mogły być artykułowane. Nowe techniki komunikacyjne, choć generowane w wymiarze społecznym – załączki nowych rozwiązań zawsze istniały w rzeczywistości uprzedniej – same też mają wpływ na kształtowanie się nowych konfiguracji społecznych. Choćby przez to, że docierając szeroko, albo nawet prawie wszędzie, kreują globalną świadomość kolektywną.

Na co nie brak utyskiwań. Że z mediów rodzi się reakcja na r e l a c j e zamiast na f a k t y i jest to forma ubezwłasnowolnienia procesów myślowych. Oraz że: skoro wszystko jest policzalne (ergo przetwarzane w maszynach matematycznych), to nie ma już miejsca na swobodę i wolność. Jest nawet opinia, że łatwość kontaktowania się na dystans, redukuje kontakty i rozmowy bezpośrednie.

Ciekawe natomiast, że prawie nie ma w tym tomie refleksji na temat medialnych systemów językowych. Zdawkowa uwaga o hipertekście (nie ma tam świadomości, że jest to język złożony homologicznie, zatem rozkładalnie) sygnalizuje tylko, że mozaikowy charakter komunikatów hipertekstowych załamuje linearność transmisji i zmusza odbiorcę do generowania własnych sekwencji znaczeniowych, czyli – do odbiorczej kreacji znaczeń. To oczywiście prawda, z tym że nie ma takiej formy komunikacji (ewentualnie poza matematyczną), w której odbiorca nie musiałby tworzyć znaczeń mniej lub bardziej własnych.

Jest w tym tomie kilka ogólniejszych konkluzji odnoszących się do relacji Internetu ze społeczeństwem. Otóż urządzenia funkcjonują według swoich programów, natomiast odbiorcy nie są zaprogramowani. Trzeba więc oddzielić ludzkie procesy mentalne od technologii – i z taką intencją wygenerował się cyborg, a potem avatar. Wbrew wstępnej koncepcji: twór człowiekopodobny, być może nawet zdolny do uczenia się, ale nic więcej. Rozbudzone nadzieje nie okazały się produktywne. Człowiek, jako istota biochemiczna, nie znalazł elektronicznej repliki. Ostatecznie więc trzeba było pogodzić się, że świat w Internecie (oraz jego akcesoria) nie jest rzeczywisty, lecz wirtualny.

Całe naręcze tekstów szczegółowo traktuje o rozmaitych wariantach komunikacji medialnej – czego nie da się tu zreferować i zresztą nie miałoby to większego sensu. Odniosę się więc tylko do jednej z tych form, dostrzeżonej już także przez bibliotekarzy, mianowicie do mobilnej elektrotelefonii, w jej awangardowym, japońskim wydaniu.

To jest coś więcej niż tylko zespół zaawansowanych nowinek technicznych. Telefon komórkowy w Japonii to personalizowane medium, niezbędny codzienności – jak powiada się: mały przyjaciel. W 1999 r. telefony komórkowe włączono tam w mobilny Internet, a w sześć lat później pojawił się avatar, dla SMS-ów zaś opracowano piktogramy, co wywołało niebывały entuzjazm młodzieży. Są opinie, że tą drogą dokonało się przełamanie poczucia alienacji wśród mieszkańców wielkich miast.

Nie wszyscy zresztą są zachwyceni. Znaczący podkreślają, że media wizualne są w odbiorze z natury rzeczy pasywne, a z kolei wzmocniona immersja w łatwo (wobec tego teraz) dostępnych, elektronicznych grach fabularnych – ołupia. Jest w tym sporo prawdy i odrobina przesady; nie wiem zwłaszcza dlaczego tak wiele inwektyw odnosi się akurat do gier. Nie istnieją przekazy, całkowicie upasywniające odbiór, chociaż komunikaty wizualne rzeczywiście uaktywniają odbiorców w stopniu minimalnym. Jeśli jednak są wykorzystywane do rekreacji, to nic w tym złego – byle tylko rekreacyjne uczestnictwo w komunikacji nie było jedyną formą tego udziału.

Szczególne wzięcie w japońskiej telefonii mobilnej mają gry fabularne, ale pomieszczone z animowanymi serialami, znane jako *Yugioh*, z wersją dla dziewcząt: *Hamtaro*. W USA w tej formie przekazu dominują filmy. Nie wydaje się, żeby to było zjawisko przemijające: w t a k i e j formie może przetrwać dłużej, ewentualnie po jakichś modyfikacjach. Dla bibliotek jest to sygnał, że trzeba te praktyki mieć na oku, bo czas ich wdrażania w sferę bibliotecznych usług rozpoczyna się mniej więcej teraz.

## SZTUKA KSIĄŻKI [\*\*\*\*]

Jelena Gierczuk (2011). *Architektura knigi*. Moskwa: IndeksMarket, 206 s., ISBN 978-5-9901-107-6-2.

Nie bez zaskoczenia natknąłem się na publikację, traktującą o architekturze, czyli o sztuce tworzenia, książki – częściowo bliską tradycyjnym eksplikacjom księgoznawczym, lecz zarazem bardzo współczesną i pomysłowo skonstruowaną. To rzadkość w lawinie wypowiedzi o komunikacji elektronicznej oraz wśród prognoz zagłady książki. A przy tym na zagadnienia często już w przeszłości roztrząsane, rosyjska autorka potrafi spojrzeć po swojemu, kreatywnie i ciekawie. Tę książkę czyta się z przyjemnością – także za sprawą interesująco dobranych i pokazanych rozwiązań przykładowych.

Nieco słabsza jest tylko część retrospektywna, oparta na przywołaniach opinii dawnych rosyjskich księgoznawców, w swoim czasie oryginalnych, ale dzisiaj wymagających niejakiego odświeżenia. Gierczuk tego nie zrobiła, więc może lepiej było całkowicie zrezygnować z tego zakresu, dla całości – marginalnego.

Dużo miejsca zajmują w tekście definicje i redefinicje pojęć – czasami pożyteczne, a niekiedy nie. Z różnych ujęć terminu *książka*, Gierczuk słusznie (przy takim punkcie widzenia) eksponuje skojarzenie z kodeksem. Natomiast mizernie wypada charakterystyka *informacji*, mało pomysłowa i wyraźnie paninformacyjna. Wszystko w komunikacji jest informacją? Powieść, muzyka, malarstwo abstrakcyjne też? To przecież kompletny absurd!

Autorka starannie i z licznymi przykładami omawia poszczególne składniki procesu wydawniczego, w ich dzisiejszym przebiegu. Z tego co pisze, jednoznacznie wynika, że rola autora w komunikacji przez książkę niekoniecznie musi być

dominująca – co zresztą u nas sygnalizował kiedyś Janusz Lalewicz. Autorska struktura tekstu to dopiero propozycja, przetwarzana w trakcie edycji tak, żeby była pomocna czytelnikowi. Ale czytelnik ponadto dokonuje własnej strukturalizacji (co Roman Ingarden nazywał konkretyzacją). Czytanie zatem nie jest bezwonną repliką kreacji, tym bardziej, że do eksplikacji – obok warstwy pisemnej – są często dołączone jeszcze inne formy referencjalne, jak choćby ikoniczne. W efekcie gotowy produkt książkowy często znacznie odbiega od pierwotnych wyobrażeń autorskich.

Przypisany do piśmiennictwa, linearny i ciągły odbiór treści, kojarzy Gierczuk ze zwojem. Formuła kodeksu umożliwiła segmentację, przerwy recepcyjne i odniesienia poza czytany tekst, a druk to jeszcze utrwalił. Ciekawe, że za najbardziej doniosłe dla komunikacji piśmienniczej uznaje nie samo wynalezienie druku, lecz niedawny wynalazek offsetu. Może to i przesada, ale coś w tym jest.



Charakterystyce *inżynierskiej* formuły książki, towarzyszy opis jej cech artystycznych, traktowanych równoważnie. Sporo miejsca zajmuje też prezentacja rozmaitych rozwiązań informacyjnego aparatu książki. Nad wszystkim jednak musi panować nadrzędna zasada płynności lekturowej w odbiorze, zagwarantowana konstrukcją tekstu.

Szereg uwag szczegółowych odnosi się do formatów książki, które dla obiegu i odbioru nie są neutralne. Format mały nie nadaje się jednak na prezent, a duży – do czytania w pociągu. Jednak podstawowe, optymalne modele, zostały już dawno wypracowane, zweryfikowane przez praktykę i nie ulegają zmianom.

Cechy zewnętrzne mają każdą książkę odróżnić od innych książek oraz określić zawartość. Bardzo silnie rozwinięta grafika książkowej reklamy na ogół skutecznie spełnia to zadanie. Ostatnio – wobec rozwiniętej produkcji oraz sposobu składowania w księgarniach i w bibliotekach – wydawcy żądają silniejszej ekspresji na książkowych grzbietach. No bo właśnie to głównie zwraca uwagę przed wypożyczeniem lub kupnem. Okazuje się jednak, że takie *krzykliwe* grzbiety kieszonko prezentują się potem w bibliotekach domowych.

Gierczuk uważa, że książka to jest narzędzie magiczne. W czasach książkofobii, to jest deklaracja wyjątkowo sympatyczna.

## KNOT [\*]

*Obraz khrama knigi* (2011). Moskwa: Paszkow dom, 112 s., ISBN 978-5-7510-0502-3.

Na ogół sygnalizuję tu książki rzeczywiście warte uwagi, lecz czasami nie zaszkodzi odnieść się także do ewidentnych knotów. A taka jest – imponująco wydana, chociaż pod dętym tytułem – publikacja (w intencji) o bibliotecznym budownictwie, do czego asumpt dała przebudowa Biblioteki Państwowej w Moskwie, rozpoczęta w 1999 r. i realizowana bez przemieszczania zbiorów. Rejestr doświadczeń byłby zapewne ciekawy, lecz akurat o tym nie napisano prawie nic. Natomiast jest tam zespół wypowiedzi o budowaniu bibliotek współcześnie – na przekór temu, co się niekiedy w czasopiśmie i książkach INiB plecie (zob. *Zarządzanie prognostyczne*). Jednak jakiego rodzaju są to doniesienia – to już zupełnie inna sprawa.

Przez cały tekst przewija się doskonała fotografia: piękne portrety bibliotek w różnych częściach świata. W znakomitej większości jednak fotografie nie są podpisane – nie wiadomo co to za biblioteki ani gdzie. Tylko niektóre udało mi się rozpoznać. Nigdzie też nie ma powiadomień o autorstwie tych fotografii, oto więc piractwo w najczystszej postaci; nawet w dawnym ZSRR t a k i e miało miejsce rzadko. Z kolei publikacje tekstowe są wprawdzie podpisane, ale przy nazwiskach zagranicznych nie wysilono się na oryginalną transliterację, miałem więc do rozwiązania kilka szarad. Udało się!

W tej części Europy funkcjonuje nierzadko praktyka (skąd przywleczona?, no?) generowania dyrekcji dużych bibliotek spośród osób spoza zawodu. Nominaci zaś nie mają potem żadnych oporów przed wypowiadaniem się na



**ОБРАЗ  
ХРАМА КНИГИ**



różne tematy biblioteczne, bowiem *orientują się* przecież, nominacja to wszak iluminacja, a poza tym są przekonani, że żadna wiedza o bibliotekarstwie nie istnieje.

No więc jeden z dyrektorów biblioteki moskiewskiej postanowił wypowiedzieć się nie tylko na temat przebudowy tej biblioteki – zresztą w samych ogólnikach – lecz także budownictwa bibliotecznego w ogóle, formułując *10 założeń* tego budownictwa. Megalomania kłuje w oczy, aż boli. Wśród przedstawionych sugestii, obok kilku zasadnych, ale drugorzędnych, płaczą się zaś oczywistości oraz kompletne dyrdymały.

Napisano na przykład, że dla publiczności w bibliotecznych budynkach przewiduje się nie więcej, niż cztery kondygnacje. Należy rozumieć przeto, że w bibliotekach dwudziestopiętrowych, które widziałem – a i w książce też są takie pokazane – szesnaście kondygnacji pozostawia się dla kóz. Inny *kwiatek* to stwierdzenie, że dla budowy bibliotek nie ma żadnych paradygmatów. Jeśli o czymś nie wiem, to owo coś nie istnieje? Agnus McDonald przewraca się w grobie.

Inna członkini kierownictwa wybrała się na koszt rosyjskiego podatnika do Pretorii, gdzie oddano do użytku budynek dla – drugiej w RPA – biblioteki narodowej. Z tego wypadu złożyła relację, przepisując (tyle, że już po rosyjsku) reklamowy prospekt tej biblioteki.

Niczym jednak nie jest lepsze doniesienie dyrektora norweskiej biblioteki narodowej o przebudowie jej budynku w Oslo. Same ogólniki, nie licząc mało bulwersującej informacji o wymianie starych rur oraz o instalacji sieci elektronicznej. Tamże Andrew Cranfield sygnalizuje, że w różnych krajach pobudowano nowe biblioteki i ta wiadomość... wyczerpuje sens tekstu. W książce nie napisano zresztą, że to Duńczyk (nazwisko wcale tego nie sugeruje), ani że był przez szereg lat dyrektorem biura EBLIDA.

Znacznie ciekawszy jest natomiast tekst projektanta biblioteki publicznej w niewielkim mieście Fayetteville (USA): autor bez zbędnej skromności zachwycą się urodą swojego dzieła. Jednak są dołączone fotografie i nie ulega wątpliwości, że z architektonicznego punktu widzenia, budynek jest rzeczywiście piękny i oryginalny. A co na to mieszkańcy? Początkowo protestowali przeciwko lokalizacji, ale gotowy produkt nie tylko zaakceptowali, lecz uznali nawet za nowy symbol miasta.

Do r e g u ł bibliotecznego budownictwa rzeczywiście odnoszą się tylko dwa teksty. Z tym, że jeden z nich zawiera jedynie przepisane wytyczne IFLA w tym zakresie. Drugi natomiast – jakkolwiek stylistycznie wyjątkowo kiepski; widać, że napisali go inżynierowie – odnosi się w sposób poważny do praktyk współczesnych. Wiele uwag potwierdza to, co dość szeroko już wiadomo, nie będę ich zatem tutaj przywoływał. Ale kilka innych warto zasygnalizować.

Autorzy są zdania, że powróciła tendencja do lokalizowania magazynów pod ziemią – na ile jest to możliwe – zamiast na górnych kondygnacjach, co w ostatnich latach zdarzało się często. Poza tym do bibliotek akademickich oraz narodowych coraz silniej wkracza reguła wolnego dostępu do nieomal wszystkich zasobów, wobec tego powierzchnia magazynowa jest obecnie wyraźnie mniejsza, za to usługowa – rozrasta się stale. To kłopot, bowiem szanse zabudowy bywają ograniczone, a powierzchnia użytkowa redukuje się dodatkowo, ponieważ przyjął się zwyczaj tworzenia atrium, bo w ten sposób zwiększa się wykorzystanie światła naturalnego i maleją koszty. Obszar użytkowania częściowo powiększają antresole i jest ich teraz znacznie więcej niż kiedyś.

Opinie o przestrzeniach do korzystania z materiałów na miejscu wyraźnie preferują indywidualizację stanowisk dla użytkowników, ewentualnie zestawianych gniazdowo lub w formie stołów kilkuosobowych, zawsze z dostępem do sieci. Ale obok tego, potrzebne są również (odpowiednio wyciszone) stanowiska do pracy w małych grupach oraz pomieszczenia dla zbiorowości większych (zob. *Biblioteki*



*akademickie w nowym kontekście*). Negacji r ó w n o l e g ł e g o projektowania także dużych czytelń nie zauważyłem.

Autorzy podkreślają ponadto konieczność wyodrębnienia powierzchni rekreacyjnych oraz konsumpcyjnych – w sumie: znacznych – w następstwie założenia, że biblioteka ma być miejscem autoedukacji oraz pracy własnej uczniów, studentów, kadry dydaktycznej i w ogóle pracowników umysłowych. Rzeczywiście, trudno byłoby skazać się na wielogodzinny wysiłek intelektualny, bez szansy na godziwe warunki krótkiego odpoczynku i odreagowania zmęczenia. Akurat ten tekst wydał mi się interesujący – także z innego powodu. Sygnalizuje mianowicie dobre perspektywy dla usług bibliotecznych *n a m i e j s c u*. Publikacje anglojęzyczne natomiast podkreślają ostatnio (trochę przesadnie) nastawienie na usługi zdalne. Jeśli zastanowić się nad tym głębiej, to jedno drugiemu nie przeczy.

*Jacek Wojciechowski*

*Tekst wpłynął do Redakcji 20 grudnia 2011 r.*